

Halina Grochowska

PAZDZIERNIKOWA PRALNIA

Halina Grochowska

PAZDZIERNIKOWA
PRALNIA

Dla mojej wnuczki Alicji

Październikowa pralnia

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-66915-31-2

© Halina Grochowska i Wydawnictwo Agrafka 2021

REDAKCJA I KOREKTA

Sylwia Lewandowska

II KOREKTA

Wioleta Żyłowska

SKŁAD I ŁAMANIE

[Studio Grafpa](#)

OKŁADKA

Krzysztof Fabrowski

DRUK I OPRAWA

Print Group

WYDAWCA

Wydawnictwo Agrafka

ul. Macierzankowa 15, 64-514 Przeclawa

e-mail: wydawnictwo.agrafka@gmail.com

www.wydawnictwoagrafka.pl

SPIS TREŚCI

WIOSNA ROK 1952	7
Chórzystka	8
Podwórko	14
Wejście do ogrodu	16
Zasiać	20
Odwrócony kociołek	24
Warzywniak	33
Skarb	41
Po co jest dżdżownica	48
Po praniu	59
Żołnierka	69
Koszyczek z robótkami	75
Lokatorka	82
Byłyśmy grzeczne	85
Dwa numery	88
Mieć sąsiada	95
Niemowa	100

LATO ROK 1954	107
Imieniny	108
Wiązanka i perfumy	108
Damą być	111
Pójść po ciastko (dzień imienin, godz. 10.00)	117
Piwonie i perfumy (godz. 16.30)	119
Nie garb się (godz.17.00)	122
Rosół (godz 17.15)	126
Za kotarą (godz.18.00)	132
Nie bądź kapusiem (godz. 20.00)	135
Upał	141
Ważne, żeby razem	144
Krawcowe	150
Wynajem	158
Powiernica	181
Wieczór	184
Niewybuch	188
Krzyś książątko	193
JESIEŃ ROK 1956	200
Winobranie	201
Odwilż w pralni	206
Będę dyrektorem	210
Dwa obiady	214
Napisanie życiorysu	219
Dostaniecie zaszeregowanie	222

Lusterko powiedz	226
Witaj na podwórku	231
Do domu z różami	236
Janinka pracująca	240
Łapówka	245
Kasztany	253
Łupiny	260
Tornister	263
Klucz	267
Króliki	273
ZIMA ROK 1958	278
Pełno w skrzyni	279
Trzech	282
Choinka	288
Szare mydło	291
Lalka	296
Nieprawdziwy	302
Katastrofa	306
Przyjaciółka	314
Alfabetycznie	321
Poradnik techniczny	327
Podśłuchać	335
Zimowe urodziny	341
Nie musisz wiedzieć	344
Zatęskniłabym	351

WIOSNA

ROK 1952

Rodarowska Grażynka - lat 3,
Bożenka - lat 1,5,
Koniecznyński Mariuszek - lat 4,
Michałek - lat 2,
Małgosia Stawarska - lat 12,
Kaleta Justyna - lat 11,
Krzysiu - lat 4,
Kamil Wiktorski - lat 10

CHÓRZYSTKA

Podwórko-kocioł, miało z trzech stron okna. We wiosenne i letnie wieczory okna otwierano na oścież, a parapety wyścielano poduszkami. Często bez poszwy, tylko w samych wsypach. Można było, wyglądając przez okno, wygodnie oprzeć łokcie i dyskutować z kumoszką z okna naprzeciwko. Jasia Rodarowska miała tego dnia wyraźnie dobry humor. Oparta na wyścielonym parapecie swojego okna chwaliła się tym, jak taniutko kupiła osełkę masła. Sąsiadki już dawno temu zaobserwowały, że Janinka potrafiła kilka razy okrążyć targowisko przy ulicy Fabrycznej, żeby kupić najtańsze i najświeższe masło.

– Naprawdę tak mało kosztowało?

– Naprawdę!

– Może było trochę mniejsze? – wyraziła swój sceptycyzm Ignasia z parteru.

– Jak rozwinęłam je z liścia, to rzeczywiście było trochę mniejsze.

– Wąchałaś czy świeże?

– Świeżusieńkie!

– Nie kazałaś przekroić i sprawdzić, czy w środku czasem nie ma czegoś innego? Kuzynka kupiła na targu masło, które w środku miało ugotowany kartofel.

– Nie sprawdziłam, ale wydaje mi się, że była to uczciwa kobiecina. Od dawna staję tam z masłem i serami.

– To ci się udało.

– Tak, bo miałam odłożone na masło, a kupiłam i masło, i jajka.

– Ile jajek?

– Dwa. Na jednym nasmażyłam placków ziemniaczanych i już był gotowy obiad, a drugie będzie na kolację dla dziewczynek.

– Jak się podzielą jednym jajkiem? Nie pobiją się?

– Tak podzielę, żeby nie było awantury.

– Jak podzielisz?

– Dodam mąki rozmaconej w mleku, posiekanej cebulki, naskubię szczypiorku z doniczki i usmażę jajecznicę.

– Sprytnie pani pomyślała. No to na pewno dziewczynki jakoś się pogodzą.

Uwaga sąsiadki była słuszna. Prawie już czteroletnia Grażynka i jej młodsza o dwa lata siostra Bożenka potrafiły

o swoje się spierać do krwi. Młodsza miała słabsze piąstki niż jej siostra, jednak miała silniejszy głos. Starła się płakać i krzyczeć w miarę możliwości jak najgłośniej, po to, żeby dorośli właśnie nad nią się użalali, albo przynajmniej zwrócili uwagę na konflikt. Czasem, zanim rozległ się jej donośny płacz, wypowiadała ostrzeżenie.

– Bo będę płakać!

W dodatku wypracowała sobie specjalny rodzaj pisku. Takie swoje przejmujące do szpiku kości „iii... ii...”, które wszystkich wokół stawiało na równe nogi.

– Ma maleńka mocny głos – komentowali sąsiedzi.

– Na pewno zostanie chórzystką. Póki co, maleńka terrorystka robiła ze swojego aparatu głosowego użytek daleki od celów kulturalnych. Kiedyś dziewczynki towarzyszyły mamie w robieniu zakupów. Znalazły się w samym środku tłumu klientów w spożywczaku, do którego „rzucili” cytryny i pomarańcze. Dostawa była dwa tygodnie wcześniej uprzedzona. W Polskim Radiu, w radiowych wiadomościach ogłoszono komunikat o wypłynięciu z bratniego kraju – z Kuby, statku załadowanego cytrusami. Kupujący ustawili się w zakręconym ogonku i zrobił się tłok. Dwuletnia Bożenka poczuła się w nim niekomfortowo i załkała:

– *Nie cie do lejki. Uuu. Cie do domu. Uuu.* – Nikt specjalnie na płacz dziewczynki nie zareagował, więc stał się on głośniejszy.

Próby jej uspokojenia się nie powiodły. W swojej dziecięcej rozpaczce wydała z siebie najbardziej przejmujący pisk, jaki potrafiła. Głosik małej Bożenki okazał się nie do zniesienia dla stłoczonych i zniecierpliwionych kolejkowiczów.

– Proszę sprzedać tej pani z tym wrzeszczącym dzieciakiem, co tylko będzie chciała, bo nie wytrzymamy! – odezwał się podniesionym głosem jakiś neurasteniczny staruszek.

– Tylko nie cytryny, bo po nie właśnie stoimy. – Jedna z pań zachowała poczucie sprawiedliwości.

Nie tylko staruszek nie wytrzymał głosiku dwulatki. Wszyscy przebywający w mocno zatłoczonym sklepie zapragnęli pozbycia się z niego głośnej beksy. Cały zgromadzony przed ladą tłum rozstał się, by przepuścić do sprzedawczynie panią Janinę z córeczką.

– Sprzedam po jednej cytrynie dla każdego dziecka, bo na pewno potrzebują witamin – odezwała się sprzedawczynie, dając zgromadzonym do zrozumienia, że tutaj to ona rządzi.

– Nie można jednej, żeby się podzieliły?

– Sprzedam po jednej!

Pani Janina skwapliwie kupiła to, co chciała, czyli chleb, mąkę, margarynę, zapalki i nawet dwie cytryny,

i szybciotko opuściła sklep. Przed wyjściem jeszcze usłyszała złośliwy komentarz:

– Patrzcie, jaka to cwaniara! Wypożyczyła sobie cudze dziecko do robienia zakupów. Przecież gdyby to było jej własne, to na pewno potrafiłaby je uspokoić.

– Tak, tak. Przecież wcale nie dostało klapsów. Gdyby była ze swoim własnym, to by tak przyłała, że gówniara zapomniałaby o wrzasku. Mieszkańcy podwórka podobnie jak stłoczeni klienci sklepu nie cierpieli głośnego wyrażania niezadowolenia maleńkiej Bożenki.

– To wycie jest gorsze od syreny strażackiej.

– Uspokójcie dzieciaka! – Szczepan nie pierwszy raz bardzo ostro reagował na charakterystyczne wysokie „c” małej. Szczepan-weteran szlaku od Lenino do Berlina, który wiele razy słyszał syreny alarmowe, świst pociągów i inne przejmujące do szpiku kości odgłosy wojny. Cierpła mu skóra przy każdym głośniejszym dźwięku, takim, jaki wydawała z siebie ta wątła dwulatka. Parę dni temu maleńkie Rodarowskie przy obiedzie krzyczała bardzo głośno o ten trochę większy kawałek wątróbki, jaki dostała jej starsza siostra.

– Wolałbym słyszeć szwabską krowę niż ten pisk – skomentował kiedyś piszczenie małej Bożenki Zenon Koniecznyński, przywołując równie bogatą co u Tomasza, wojenną przeszłość.

– Ja bym chciała usłyszeć „muuu”. U nas za Bugiem mieli przepiękne dorodne krowy, nie gorsze od niemieckich. – Pochwaliła się Ignasia Konieczńska. – Wprost marzę i tęsknię...

– Ależ to nie o taką krowę chodzi¹.

– Chodzi o to... – odezwał się Szczepan, weteran wojenny. – Co szwaby mieli na ruskie katusze.? To o ich szafy chodzi. O te, co tak strasznie ryczały.

– Niemcy katusze nazywali organami Stalina. – Podzielił się swoja wiedzą Staszek Stawarski. Ten, który wrócił z wojny z przeciwnej strony Europy, bo spędził u nich na robotach ponad dwa lata okupacji. Minęło już przecież sześć lat, a mężczyźni wciąż swoje. Każdy temat nakierowywali na wojnę, jakby jeszcze nie wyszli z okopów i dyskutowali o następnej, która podobno miała nadejść i do której jakby ich ciągnęło.

Natomiast kobiety rozprawiły o tym, co wykombinują na obiad i na kolację.

¹ [Niemiecka](#) wyrzutnia raketowa z okresu [II wojny światowej](#)

PODWÓRKO

Dobrze było majowymi i czerwcowymi wieczorami być razem. Powiedzieć, co która wystąpiła, co ugotowała, co zjedli i co chcieliby zjeść albo ile jeszcze zostało do wypłaty. W tamtych latach wśród podobnie ubogich sąsiadów panowała tak daleko idąca szczerłość, że nie kryli się z wysokością swoich zarobków wypisanych na paskach odbieranych przy wypłacie. Co innego, jeśli chodziło o dochody osiągnęte legalnie albo całkiem nielegalnie przez drobny szwindelek.

Podwórko przy ulicy Daszyńskiego (od 1956 roku – przy ulicy Moniuszki) było zasłonięte od strony ulicy, że sąsiedzi nie krępowali się rozłożyć na nim ze swoimi domowymi zajęciami. Ci, u których okna nie wychodziły na podwórko, zajmowali na nim ławeczkę, przynosili na świeże powietrze stołki albo tak jak Tomasz Wiktorski

dla swojego ojca Szczepana, lekki, ale solidny ponie-
miecki fotel bujany z wikliny. Marzena Stawarska czę-
sto na podwórku obierała ziemniaki, przynosząc z pralni
wodę i będący na jej wyposażeniu taboret. Na świeżym
powietrzu oskubywało się ptactwo, demonstrując przy
okazji, kogo na niego stać. Łeb ucinał ptakowi na spe-
cjalnie do tego przeznaczonym podwórkowym pniaku,
Heniek Rodarowski. Raz mu poszło odcięcie łba po jed-
nym uderzeniu siekiery i już został on podwórkowym
rzeźnikiem. Ignasia do samego zachodu słońca ślęczała
nad podnoszeniem oczek albo łatała portki swoich syn-
ków. Marzena Stawarska robiła kolejne cudo na drutach
albo na szydełku. Babcia Pelagia Kaleta siedziała jak zwy-
kle na tej samej ławeczce i wykańczała w rękach jakąś
sukienkę, uszytą dla kolejnej klientki.

W letnie wieczory wszyscy starali się być razem. Plot-
kowali, dyskutowali, śmiali się, kłócili.

– No bo co innego można robić wieczorami, jak tylko
być razem? Wtedy jest różniej, bezpieczniej, czasem
wesoło, czasem smutno. Podzielenie się smutkami dawało
ulgę. Drobne radości były prawdziwsze, jeśli można było
o nich opowiedzieć i nacieszyć się reakcjami podwórko-
wych koleżanek. W smutkach znajdowano pocieszenie
w tym, że inni też nie bardzo mają co do garnka włożyć
i że też postali sobie w kolejce, po to, aby właśnie dla
nich zabrakło.

WEJŚCIE DO OGRODU

Za wysokim murem między kamienicami znajdował się stary, zdziczały ogród. Miał on wejście od podwórka, solidnie zbudowaną szopę i wyrosniętą brzozę. Po drugiej stronie muru był piękny, wypielęgnowany ogród. O tym ogrodzie wiedziały dzieciaki, bawiące się w wojnę lub podchody. Podczas zabawy przechodziły przez wysokie, murowane ogrodzenia na sąsiednią posesję. Na niej był nowoczesny, piętrowy budynek z przepięknie utrzymanymi zagonami, obmurowaną sadzawką i z egzotycznymi drzewami, takimi jak: magnolia i platan.

Dzieciarnia dostawała się tam trzema sposobami:

– Przez mur sąsiedzkiego warzywniaka. Był wysoki, ale miał po obydwu stronach wykruszone otwory po ceglach, których można było się przytrzymać przy

wchodzeniu i oprzeć na nich stopę także po jego drugiej stronie, tak, żeby przy zeskakiwaniu, choć trochę zmniejszyć swoją energię uderzenia w uprawiane właśnie pod nim warzywa.

– Z przeciwnego kierunku, za pralnią można było wejść do zaułku z szopą. Wejść na nią po krzewie czarnego bzu, podpierając się przy tym rękoma albo jedną nogą chropowatego murku, przejść po nim około półtora metra na niższą, pokrytą papą komórkę z drugiej strony i z jej dachu zeskoczyć na miękką trawę.

– Zupełnie normalne wejście prowadziło po kamiennych schodkach od Placu Słowiańskiego na korytarz jednopiętrowego, zamieszkałego przez nauczycielskie rodziny, domu. Dalej przelotowym korytarzykiem można było przejść do ogrodu. To trzecie przejście było dla podwórkowej ferajny znane, ale za mało niebezpieczne, więc i zbyt nieciekawe, żeby akurat z niego korzystać.

Justyna zwykle przyprowadzała do tych zabaw koleżenstwo ze swojej klasy. Kamil miał za swoją drużynę łobuziaków z sąsiedniego podwórka. Małgosia czasem przyłączała się do starszego Kamila, a czasem do przyjaciółki ze swojego podwórka. Podarte, pobrudzone ubrania, poranione kolana zdradzały, że dzieciaki nie słuchały zakazu wspinania się na dachy i drzewa. Obrywały za to w domu dyscypliną albo paskiem. Obrywały tak mocno, aby pomysły na niebezpieczne zabawy zostały wreszcie

zaniechane. Ledwie łyzy obeschły, sine pręgi na siedzeniach zniknęły, a pęd do przygody okazywał się silniejszy niż strach przed biciem i znowu pchał do gonitwy po drzewach, płotach i cudzych ogrodach.

Dojrzewające w rejonie domków z wypielegnowanymi ogródkami na ulicy Wiśniowej truskawki, marchewka, ogórki, jabłka, gruszki i śliwki na tamtejszych drzewach, kusily do wypraw „na szaber”. Słowo to nie kojarzyło się z czymś tak wstrętnym i niebezpiecznym jak słowo kradzież. Kojarzyło się z fascynującą, dostępną tylko dla morowych chłopaków przygodą. To słowo wymawiane z błyskiem w oku pojawiało się w szeptaniu dorosłych. Wtedy gdy przy szklankach bimbrowo omawiali zrobienie jakiegoś interesu.

Ubiegłoroczna wyprawa na szaber, na którą wybrał się Kamil z kolegą z sąsiedniego podwórka, okazała się dla nich nie tak ciekawa, jak to wynikało z przechwałek starszych kolegów z pobliskiego podwórka. Wybrali się w dwójkę na tamtą dzielnicę i wystarczająco długo, jak im się zdawało, krążyli naokoło i nadśluchiwali, żeby dojść do wniosku, że w pobliżu nikogo nie ma i uda im się dorwać do cudzych dojrzałych truskawek. Ledwo po zniszczeniu siatkowego ogrodzenia, dostali się do owoców i zdążyli spróbować, Kamil został chwycony za kołnierz i poczuł mocne razy postronkiem, natomiast Franek poczuł, jak coś mu ściąga portki. Tym czymś były mocne

zębiska ślicznego wilczura, którego podziwiali wszyscy w mieście, jak spacerował blisko nogi swojego pana. Potem sparaliżowani strachem chłopcy zrobili widowisko dla mieszkańców kilku ulic, idąc w eskorcie. Z jednej strony trzymającego za kołnierz gospodarza, z drugiej powarukującego i nieodstępującego ich wilczura.

Tego wstydu, jakiego się wtedy najedli, wystarczyło im na całe życie. Lepiej go zapamiętali niż ból przy zasłużonych uderzeniach twardym paskiem. Naprawdę, żaden z nich, nigdy już nie sięgnął po cudze.

ZASIAĆ

Jeszcze przed pięćdziesiątym, zaraz po zajęciu mieszkań, a przed oficjalnym końcem wojny, w kwietniu czterdziestego piątego czy siódmego zmówili się, że razem nawiozą i zasieją ogród, znajdujący się za wysokim murem między kamienicami. Miał on wejście od podwórka, solidnie zbudowaną szopę i wyrosniętą brzozę.

– My też powinniśmy mieć ogród – zarządził Staszek Stawarski. – Żeby dzieciaki nie przyzwyczajały się do kradzieży.

– Dowiedziałyby się o tym, że kto zasieje, ten zbiera.

Każdy z podwórka wiedział, co Staszek miał na myśli. Nie od razu zrobiono to, co było dobrym pomysłem, bo brakowało pewności, że to, co urośnie, Bóg pozwoli jeszcze zebrać. W kolejkach na mieście ciągle straszono następną wojną.

- Oni tu zaraz przyjdą!
- Niemcy nas przepędzą.
- Rewizjoniści już podnoszą głowy.
- Będzie trzecia wojna.
- Pomogą nam Anglicy i Amerykanie.

Każdy z sąsiadów miał inny pogląd na szanse utrzymania ojczyzny w pokoju i w obecnych granicach. Wiesiek Kaleta przekonywał:

- Co was tak ciągnie do wojenki? Ślubne dokuczają czy wam się nudzi? Nie będzie wojenki, nie będzie. W Zgorzelcu podpisano, że będzie pokój².

Wreszcie w pięćdziesiątym drugim zaryzykowano włożeniem wysiłku w przekopanie, nawiezenie ziemi do ogródka oraz kupno nasion i sadzonek, żeby chociaż darmowe warzywa można było do garnka włożyć.

Tak poradził Staszek Stawarski na kilkugodzinnej męskiej naradzie w podwórkowej pralni. Najlepiej wiedział co i jak, bo okupację przesiedział u Niemca i tam jako przymusowy parobek, to i owo podpatrzył. Pracował w porządnym, bo niemieckim gospodarstwie, gdzie wszystko musiało być „*richting*”³.

² Układ zgorzelecki” z 6 lipca 1950 r., między Rzeczpospolitą Polską a NRD o wytyczeniu pol.-niem. granicy państw.;

³ Dokładnie, szybko

W poniedziałkowe popołudnie zebrali się w nim wszyscy mieszkańcy podwórka z dwoma szpadlami, jedną łopatą, dwiema grabiami i jedną motyką.

– Będzie tak, jak ma być, akuratnie, jak u bauera – powiedział zebranych sąsiadom tak wyraźnie, że każdy, kto to usłyszał, uznał, że tak ma być!

– Komunizm wam przypasował, jak w mordę strzelił – dogadał Szczepan Wiktorski, któremu jak utrzymywał, Bóg na wojnie odebrał władzę w nogach, więc jego udział w akcji był tylko propagandowo-ideologiczny. Robił na tym „szanownym zbiegowisku” za agitatora.

– Realizujecie jego podstawowe założenia i tezy – zagrzewał.

– Gadasz jak radio-kołchoźnik.

– Te grządki, to jakby PGR. – Dalej głośno myślał podwórkowy filozof Staszek Stawarski, mając na myśli pojawiające się w wydawanej od roku Trybunie Ludu teksty o *„genialnym, przejętym z bratniego Związku Radzieckiego rozwiązaniu problemów z wyżywieniem narodu i likwidacją nędzy i ciemnoty wsi poprzez zorganizowanie Państwowych Gospodarstw Rolnych”*.

– Gdyby to Stalin widział, żeście sami tak wykombinowali z grządkami, po kołchozowemu...

– Nasłuchałeś się wczoraj radia?

– Wcale nie... Przeczytałem w „Nowej Wsi”

– Za samowolną realizację bez głosowania, protokołu z zebrania i pisemnego zatwierdzenia wysłałby nas wszystkich, tak jak tu stoimy za Kaukaz.

– Albo na białe niedźwiedzie.

– Za same króliki byłoby dziesięć lat bez prawa do korespondencji⁴.

– Błuźnisz! Stalin przegonił faszystów!

– Ciicho! Dzieci słuchają!

– Mało wam było polityki przedwczoraj?

⁴ To sformułowanie oznaczało wyrok śmierci.